Nr. 37. Lwów — 1889 r. Rok XII.

Numer pojedyńczy 15 ct.

GONIEC

Numer pojedyńczy 15 ct.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH.

„Goniec" i „Iskra" wychodzą każde po dwa razy na miesiąc — razem cztery razy. Oprócz tego tak do „Gońca" jak i do „Iskry" dołącza się stale osobny **Dodatek powieściowy** dla wszystkich prenumeratorów. Prenumerata *na obydwa pisma z dodatkiem powieściowym* wynosi tak w miejscu, jak i naprowincji kwartalnie: 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi 5 ct. miesięcznie.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Ignacy Domejko.



Teofil Magdziński.

Rysowane z drzeworytów. — Patrz artykuł p. t. *Ignacy Domejko* i *Teofil Magdziński.*

Z powodu konfiskaty.

Na pamiątkę powstania 1830-31 roku wydaliśmy w roku zeszłym numer „Gońca" z wizerunkami wodzów naszych i dodatek do tegoż numeru, zawierający niektóre patrjotyczne pieśni i poezje nasze. Dodatek ten skonfiskowała c. k. prokuratorja. Sąd pierwszej i drugiej instancji zniósł jednak zarządzoną przez c. k. prokuratorję konfiskatę, a dodatek zwrócił nam. Otóż, do dzisiejszego numeru „Gońca" dołączamy ten dodatek, który parę miesięcy wysiedział się w kozie. Szanowni prenumeratorowie raczą go sobie dołączyć do odpowiedniego numeru z roku zeszłego.

Od Redakcji i Administracji.

Rozpoczęliśmy **rok dwunasty** naszego wydawnictwa.

Po ukończeniu się powieści **Von Kramst** — zaczniemy drukawać w **Dodatku powieściowym** inną powieść, większych rozmiarów, która się pociągnie mniej więcej do końca tego roku.

Wkrótce też rozpoczniemy szereg **szkiców ze świata dziennikarskiego polskiego**, zamieszczając równocześnie portrety naszych dziennikarzy i redaktorów.

Prosimy o odnowienie zaległej i bieżącej prenumeraty. — Wszelkie zaległości dla wydawnictwa są bardzo uciążliwe, a opieszałość szanownych prenumeratorów w tym względzie, wyrządza istotną krzywdę redakcji. Pisma polskie, w ogóle, mają prawo liczyć na obywatelskie poparcie, a narażanie ich na stratę i szkodę, jest lekkomyślnością, którą każdy potępić musi.

Wszelkie pieniądze prenumeracyjne i należytości, najdogodniej przesełać *przekazem pocztowym*, lub *w liście pieniężnym* do: **Administracji „Gońca" i „Iskry" we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.**

Drugi zeszyt „Klejnotów humoru, satyry i dowcipu polskiego" wyjdzie wkrótce. Opóźniamy wychodzenie pierwszych zeszytów, aby w przybliżeniu obliczyć wysokość nakładu wydawnictwa tego, które jest kosztowne — jednak 24 zeszyty „Klejnotów" wyjdą w ciągu 1889 r.

Złote słowa prawdy.

Wypowiedział je nie dawno Renan, mąż wielkiej nauki, z wysokości trybuny paryskiej akademji umiejętności. W obec chełpliwych i pyszałkowatych frazesów o tym naszym postępowym wieku dziewiętnastym — słowa sędziwego uczonego francuskiego, okraszone do tego brylantowym, a łagodnym humorem i przenikliwą satyrą, nabierają nie małej wagi i każą z pewnem skupieniem zastanowić się na tem, co nas otacza i, co się w koło nas robi. Naturalnie, złote słowa prawdy Renan'a, zatrzymały się tylko wśród świata literackiego — szeroki świat polityczny z całym aparatem dyplomacji, armat i jałowych parlamentów nie zwróciły najmniejszej uwagi na to, co powiedział uczony i filozof francuski, a jednak to, co powiedział, jest najdosadniejszą i najsprawiedliwszą krytyką tego, co się, w ogóle, i w szczególe dzieje na świecie...

Posłuchajmy tedy niektórych ustępów tego prawdziwego mędrca, który z powodu przyjęcia Claretiego w poczet „nieśmiertelnych", jak nazywają członków akademji nauk w Paryżu, między innemi tak powiedział:

„Stawiamy sobie często pytanie, co pozostawi po sobie wiek XIX, ile dzieł w ciągu tego wieku stworzonych zostanie na przyszłość?

„W samej rzeczy, u schyłku wieku bieżącego pytanie to jest arcy naturalne. Czy jednak z dziełami współczesnemi będzie to samo co z zeszłowiecznemi? O tem wątpić się godzi. A najpierw, po dwa, lub trzykroć w ciągu dziejów powtórzył się fakt, że nauka i piśmiennictwo klasyczne pewnego narodu rozpowszechniły się i przejęte zostały przez inne. Dziś nie zanosi się na podobny objaw. Postęp i cywilizacja, których świadkami jesteśmy, są tak powszechne, że chwila jeszcze, a nikt nie będzie uczył się obcych języków, aby przez to stał się bardziej cywilizowanym, bo kluczem do całokształtu wiedzy, będzie mu język ojczysty. Wyodrębnienie narodowościowe posunięte do ostatecznych granic sprawi, że żaden naród nie będzie szukał wzoru u sąsiednich. Czytać będą mniej i czytać inaczej — radzić się może raczej będą gotowego materjału, co jakie ćwierć wieku obrabianego na nowo przez ludzi, z których każdy korzystać będzie ze swych poprzedników, a swoją drogą źle o nich będzie mówił.

„*Vanitas vanitatum!...*

„Najwięcej mówią o nieśmiertelności te wieki, które do niej najmniej się przyczyniły. Najwięcej dyplomów na genjusza wydają czasy, w których jest genjuszów najmniej. Żyjemy w takiej właśnie dobie i zewsząd słychać pretensje, każdy nieledwie upomina się o przywileje geniuszowi należne, przywileje, których, rzeczywiście, genialni ludzie nigdy nie znali, ani pożądali.

„Genjusz, panowie, w ogóle, jest bardzo skromny; genjusz jednej tylko rzeczy pragnie, — aby go pozostawiono w spokoju. Źle jest, gdy życie czynią mu twardem, ale i jego najpierwszym obowiązkiem jest przejednywać ludzi prostotą, pozorami pospolitości nawet i szacunkiem wzglę-

dem innych, którzy wtedy dopiero chętnie wybaczą mu oryginalność. Przyszłość należy do silnych; i owszem, ale jestem zdania, że przedewszystkiem jest ona udziałem skromnych; ci przetrwają, którzy o potomnych nie myślą a o względy ich nigdy się nie ubiegali.

„...Za tysiąc lat, z książek, które czytamy, pozostanie w całości jedna Biblja i może Homer Oprócz tego, znajdą się może urywki jakie z dzieł nam współczesnych wybrane przez przyszłych filologów i ułożone w wypisach szkolnych do egzaminów. Znajdzie się tam może jakieś pół stronicy którego z nas, opatrzone między wierszami tłumaczeniem wedle volapuku.

„*Debemur morti nos nostraque.*

„Stuletnie rocznice nie są winą niczyją. Trudno mieć pretensję do wieków, że mają po sto lat. A jednak przykro, że tak jest Nic niefortunniejszego, jak dawać życiu współczesnemu rytm przeszłości, jeżeli ta przeszłość była wyjątkowa. Jubileusz stuletni domaga się apoteozy; to za wiele. Uroczyste wypominki z absolucją ogólną i panegirykiem — to wszystko, czego potrzeba; potem jeszcze nabalsamować tę przeszłość i w powijaki otulić by się poruszyć nie mogła. Zresztą już nic. A strzeżmy się budzić do powtórnych porywów młodzieńczych, do czynów wspaniałej nierozwagi, które raz tylko się udają. Bądźmy dumni z Joanny d'Arc, z Ludwika XIV, wreszcie, z rewolucji i Napoleona. Ale nie powtarzajmy ich. W powtórzeniu — niebezpieczeństwo. To są zjawiska piękne, bo są jedyne, nie wznawiajmy ich. Rewolucja to paroksyzm, to gorączka; ona nie może trwać, bo gorączka trwała to śmierć. Rewolucja jest potępiona, jeżeli po stu latach szuka jeszcze drogi swojej po omacku — między anarchją, a spiskowaniem".

Od ręki.

═ Nowo dokonane wybory w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, wprowadziły na najwyższą godność prezesa Towarzystwa: p. Zygmunta Dembowskiego, który jest zarazem posłem na sejm krajowy. Wiadomość o tem przyjęto w całym kraju z wielkiem zadowoleniem, bo p. Dembowski należy do tych, którzy mało mówią, wiele robią i z miłością dobrego syna kraju odczuwają potrzeby nasze, a przytem nowy prezes tej najwyższej, samodzielnej instytucji naszej finansowej, opierającej się tylko o ziemię — obdarzony jest wyższemi zdolnościami, przedziwnym taktem w całem swem, zawsze na wskróś szlachetnem i rycerskiem postępowaniu...

Życzymy mu na tem nowem, zaszczytnem stanowisku z całego serca: szczęść Boże!...

Zastępcą prezesa obrany został p. Stanisław Gniewosz, także poseł na sejm.

═ Podróż Konopki po dziennikach...

W poprzednim numerze „Gońca" w *kroniczce* podaliśmy dość ciekawą wiadomość o znanym deklamatorze Konopce, który obecnie, dotknięty obłędem umysłowym, znajduje się w zakładzie obłąkanych, w Kulparkowie. „Czas" opuściwszy, co uważał za stosowne i dodawszy wyrazy: „donoszą ze Lwowa", przedrukował tę wiadomość, a chociaż sam drażliwy jest na tym punkcie, gdy o niego chodzi, nie podał jednak źródła przedruku.

„Dziennik Polski", zajęty konstytucją w Japonji, przeoczył nasz artykuł w „Gońcu", a swobodniejszy w niedzielę od dyplomatycznych kombinacyj, dostrzegł go orlem okiem w „Czasie" i sumienniejszy tym razem od niego, napisał: „do „Czasu" donoszą ze Lwowa" i grzmotnął sobie obcięty nasz artykulik o Konopce. „Kurjer lwowski", co do wszelkich przedruków prowadzący korsarstwo na szeroką skalę, pozazdrościł „Dziennikowi Polskiemu tej wiadomości i nie wspominając, ani o nim, ani o „Czasie" ani o nikim, przedrukował znowu nasz artykulik, jako swój własny. Z „Kurjera lwowskiego", naturalnie, skorzysta korespondent do „N. Reformy", który jest współpracownikiem „Kurjera" — potem przeleci to do pism poznańskich i przedrze się do warszawskich, a o „Gońcu", z którego wszyscy poczerpnęli, ani słówka... Taką podróż odbył Konopka naszym kosztem...

Drobna to rzecz — ale dobrze charakteryzuje zwyczaje i... obyczaje panujące w redakcjach naszych dzienników...

═ † Ś. p. Jan Hryniewiecki, znany i otaczany sympatją dla swych cnót w kołach artystycznych i literackich, współdyrektor rusińskiego teatru, zmarł w Przemyślu dnia 25. Stycznia 1889. Był on synem rządcy dóbr z Sanockiego, a urodził się w 1850 r. w Sanoczku. Do szkół niższych uczęszczał w Sanoku, do gimnazjum najprzód w Samborze, potem w Przemyślu, a nareszcie we Lwowie. Wcześnie rozbudziła się w nim artystyczna żyłka. Już w roku 1867 wstąpił do trupy Woźniakowskiego, jako komik. Potem wstąpił do trupy prowincjonalnej pani Romanowiczowej, w której był reżyserem i przyczynił się do podniesienia tego teatru, który wówczas był subwencjonowany przez sejm. Nieszczęśliwa, bo nie wzajemna miłość ku siostrze dyrektorki, jak pisze „Gazeta Nadniestrzańska", jako też intrygi, prowadzone przeciw niemu przez zawiść jednego z członków tej trupy, znagliły go do wyjazdu. Osiadł na krótki czas w Krakowie, a później w Poznaniu. Tu i tam był nader ceniony przez dyrekcję teatru i przez publiczność. We dwa lata powrócił do kraju i około roku 1880 objął wespół z kolegą artystycznym Janem Biberowiczem wspólnie dyrekcję ruskiego narodowego teatru, przy której się utrzymał aż do śmierci. Czem był ś. p. Jan Hryniewiecki dla tego ruskiego teatru, subwencjonowanego przez sejm, o tem już chyba pisać nie potrzeba. Jako szczery rusin-narodowiec, jako artysta rutynowany, jako reżyser, i jako dyrektor sumienny, a prawy, pobłażliwy, a sprężysty, traktujący rzecz na serjo, a przytem wysoce moralny, miał on wszystkie warunki po temu, aby położyć podwalinę do przedsiębiorstwa tak ważnego dla cywilizacji, jak teatr narodowy ruski.

† Zmarł w Krakowie ś. p. Mieczysław Darowski, sędziwy, 80 kilkuletni starzec, oficer wojsk polskich, ozdobiony krzyżem *virtuti militari*. Był to patrjota, pełen wzniosłych uczuć, niekłamanego zapału i poświęcenia. Ubóstwiała go młodzież, której był szczerym przyjacielem i gorąco ją miłował. Pogrzeb jego w Krakowie był wspaniałą manifestacją patrjotyczną. Mnóstwo wieńców od różnych korporacyj, a między niemi i od rady miejskiej lwowskiej, pokrywało trumnę żołnierza polskiego, który służył ojczyźnie wiernie i pożytecznie aż do ostatnich chwil swego życia. Nad mogiłą wypowiedziano kilka mów, pomiędzy któremi, odznaczała się szczególniej mowa posła Romanowicza.

Ignacy Domejko i Teofil Magdziński.

(Do ryciny).

Potężne siły intelligencji, niespożytego ducha i poświęcenia, które wynieśli z sobą z ziemi rodzinnej na tułactwo, nasi bohaterowie wypadków 1830—1831 roku — gasną już ostatnimi promieniami zachodzącego słońca i kryją się pod mogiły, które dopóki serc polskich stanie, będą zawsze dumą narodu i jego chwałą...

Tak jest — po nich zostaną takie mogiły — a po nas?...

Po nas — także zostaną mogiły, ale, jak ślicznie Konopnicka mówi, nie te „mogiły, coby się synom i wnukom śniły przez długie lata"...

Ignacy Domejko, syn Hipolita i Karoliny z Ancutów, urodził się 22. sierpnia roku 1801, w dobrach rodzinnych Niedźwiadce, na Litwie. Nauki gimnazjalne pobierał w Szczuczynie u Pijarów, uniwersyteckie zaś w Wilnie, na wydziale nauk matematycznych i fizycznych, pod profesorami Jundziłłem, dwoma Śniadeckimi, Niemczewskim, Polińskim i in. Ostateczne wykształcenie specjalne odebrał w szkole górniczej w Paryżu, a praktykę przebywał w hutach alzackich. Ztamtąd rząd chilijski wezwał go na profesora geologji i chemji do zakładanego podówczas w Coquimbo uniwersytetu, następnie przeniesionego do stolicy Rzplitej Santiago. Odpłynął w r. 1837 z Europy do Chili, rozpoczął nauczanie w roku następnym i prowadził je przez lat czterdzieści pięć do r. 1883. Przez ten czas, obok wykładów z katedry i nieustannej pracy w laboratorjach, oddawał się poszukiwaniom na gruncie, pisał po hiszpańsku książki o naukach przyrodzonych, setkami artykułów zasilał francuskie „Annales des mines", jako sędzia z urzędu, godził spory właścicieli kopalni, a miał czas jeszcze odbyć podróż do dzikiej Araukanji dla wskazania rządowi chilijskiemu rozumnej drogi postępowania z krajowcami, tłumaczyć dzieła św. Teresy i pisać ogromne pamiętniki, których kilka nadzwyczaj zajmujących ustępów z życia chilijczyków i zjawisk natury, drukowała warszawska „Kronika Rodzinna". W wyciągach z pamiętnika, pisanych podczas ostatniej podróży do Europy w r. 1884, w opisie podróży odbytej później z kraju do Jerozolimy, owszem nawet w listach do córki i zięcia na kilka tygodni przed zgonem, postrzeżenia przyrodnicze i etnograficzne pierwsze u niego zajmują miejsce. Składał w nich sumę nabytków umysłowych całego życia.

Przywykły do nieustannej ruchliwości, do konnych wypraw w Kordyliery i w pustynie Araukanji, nie mógł Domejko dosiedzieć na miejscu w ustronnej Zyburtowszczyźnie, która przykuwała go do siebie najczulszem przywiązaniem córki i zięcia, ale łączyła ze światem tylko przez ustronną stację pocztową na starym trakcie w Zdzięciole. Wybiegał też przez Warszawę, to do Paryża, gdzie kształcił syna na następcę w uniwersytecie santiageńskim, to do Rzymu, gdzie drugi syn kończył wyższe ukształcenie kapłańskie, to, wreszcie, do grobu Zbawiciela. Nareszcie, u schyłku jesieni roku zeszłego, zabawiwszy ledwo dni kilka w Warszawie, wyruszył znowu do Chili, aby towarzyszyć dwom synom przy instalacji w ojczyźnie ich matki. Wyjechał z zamiarem, wypowiedzianym w liście do córki i zięcia, że, czy żywy, czy umarły, powróci do nich za lat parę. Ale zdarzyły wyroki, że żywy już nie powróci..

Nie dopłynąwszy do portu najbliższego od Santiago, musiano schorzałego starca wysadzić w najpierwszej przystani chilijskiej, zkąd już koleją żelazną dojechał do stolicy. Było to w pierwszych dniach listopada z. r.; atoli ku końcowi tegoż miesiąca stan zdrowia Domejki tak się polepszył, że mógł paręset wierszy napisać do Zyburtowszczyzny, z wesołemi, jak zawsze wrażeniami, odbieranemi na widok ludzi i przyrody. Jeszcze w pierwszych dniach grudnia opisywał swoje rozrywki w ogrodzie pomiędzy roślinami podzwrotnikowemi Santiago. Nadzieja podźwignięcia się rosła; ale były to już tylko ostatnie odbłyski mocowania się dzielnego niegdyś organizmu ze spustoszeniem niemocy. Zapadł ponownie w śmiertelną już chorobę, i zgasł dnia 23. stycznia roku bieżącego, wśród najpiękniejszego rozkwitu południowego lata.

Był to człowiek wielkiej jednolitości charakteru, zarówno w życiu potocznem, jak w nauce. Niski wzrostem, ale krzepko rozwinięty, nienadwerężony żadnemi zgubnemi namiętnościami, zachował całą świeżość władz umysłowych i wrażliwość. Pod względem zamiłowania przyrody, i badania jej, zbliżał się Domejko, jak utrzymuje piszący jego życiorys W. Korotyński, do Humboldta i Agassiza. Z tym też ostatnim uczonym szwajcarskim, równie jak Domejko naturalizowanym amerykaninem, łączyły naszego uczonego związki osobistej przyjaźni, wspólnych przekonań naukowych i religijnych — i dodaje, w końcu W. Korotyński, od którego zapożyczamy szczegóły o życiu ś. p. Domejki: obaj byli uczonymi chrześcijanami. Krzyż też nad grobem Ignacego Domejki, nie będzie urągowiskiem z jego życia domowego i publicznego.

Teofil Magdziński, długoletni poseł na sejm pruski i prezes koła poselskiego, zmarł w drodze z Bydgoszczy do Berlina.

Urodzony d. 13. października r. 1818. w Szamotułach, odbywał studja uniwersyteckie w Lipsku, Wrocławiu i Berlinie. Około tego czasu przesiedlił się do królestwa, i przebywał tam lat kilkanaście. Zamieszkawszy następnie w Bydgoszczy, został wybrany posłem na sejm pruski, a później i do parlamentu niemieckiego.

Od r. 1876 do 1881 był wiceprezesem, a po usunięciu się sędziwego prezesa Henryka Schumana, przewodniczył kołu posłów polskich w parlamencie niemieckim i godność tę piastował do chwil ostatnich. Jeszcze niedawno, bo kilka tygodni temu przy rozprawach o kolonizacji wschodnio-afrykańskiej przemawiał, zaznaczając pobudki, jakie skłaniają posłów poznańskich, że za wnioskiem rządowym w tej kwestji głosy swe dadzą.

Stratę ś. p. Magdzińskiego tem mocniej odczuje szczupłe grono posłów, którym przewodniczył, że prócz poważnego i prawego kierownika, wraz z jego śmiercią stracić może i okręg wyborczy, gdzie zastąpić zmarł go nie będzie łatwo. Zmarły był kupcem i gospodarował także na roli.

Lwowska kwestja teatralna.

Więc jest i kwestja teatralna... Do pary, powinnaby być i *ankieta*, bo w Galicji bez *ankiety* nic się nie może obejść... Możeby, istotnie, przydała się *ankieta* w tym razie, chociaż, co prawda taką nieprzerwalną ankietą dla kwestji teatralnej powinna być tak nazwana *komisja artystyczna* — ale u nas w wielu bardzo sprawach musi się dziać wszystko inaczej, jak gdzie indziej...

O sprawach literackich i artystycznych, decydują urzędnicy, filistry i studenci uniwersytetu, zaś doktorowie medycyny, specjaliści w kwestji podatkowej i zapoznani agronomowie, wyrokują o sztuce i scenie... Dlaczegóżby nie, wszak każdy mniej, lub więcej wykształcony człowiek o takich rzeczach sądzić może — zapewne, jeśli można

mieć swoje zdanie o tem, co robi Bismarck, Boulanger i inni potentaci obecnej sytuacji politycznej, to można sądzić i o tem, co robi Barącz i jego dyrekcja teatru Nic słuszniejszego, ale, jeśli mamy prawdę powiedzieć, to tyle warte te gadania o Bismarcku i Bulangerze, co warte elaboraty komisji artystycznej o działalności teatru lwowskiego. Powiemy więcej: działalność komisji artystycznej lwowskiej na tok spraw teatralnych, jest nawet w wielu razach szkodliwą, bo właśnie wywiera ona wpływ w tym kierunku, którego dotykać się nie powinna... Pod presją takiego wpływu nie naturalnego, decydującego o kwestjach finansowej natury, dyrekcja teatru popełnia nie raz takie rzeczy, za które najniewinniej dostaje cięgi od dziennikarstwa i opinji publicznej... Nie powoduje nami żadna stronniczość — z wyjątkiem p Wiesiołowskiego, który jest dla nas znakiem zapytania, jesteśmy z całem uznaniem i szacunkiem dla reszty członków tej komisji artystycznej, ale znowu z wyjątkiem p. Pilata, który jest tam na swojem miejscu, wszyscy inni, tak samoby mogli sformować komisję poprawy dróg i mostów, jak i artystyczną .. Pan Hoszard, jest doktorem medycyny i członkiem Wydziału krajowego, człowiek bardzo godny i zdolny urzędnik, ale praktykując, jako lekarz przez dłuższy czas w Bochni, wątpimy, aby mógł być przy całej ognistej swojej miłości dla sztuki scenicznej, powagą dla niej... P. Dawid Abrahamowicz, po ś. p. Krzeczunowiczu odziedziczył berło filozofa w kwestjach podatkowych, które, jak wiadomo, najbardziej nieartystom stoją kością w gardle; zna, naturalnie, Wiedeń i inne stolice, a nawet napisał raz wściekły dramat p. t. „Zbrodzień“, czy „Zdrajca“ i jedną komedję, w której główną rolę grają rogale przyniesione przez żyda w koszyku na scenę. Obydwóch tych swoich płodów muzy autorskiej pan Dawid Abrahamowicz wstydzi się tak dalece, że, gdy przed kilku laty jakiś biedny dyrektor prowincjonalnej trupy w Stanisławowie zapowiedział afiszami wystawienie „Zbrodniarza“, z wymienieniem nazwiska autora i z dodaniem tytułu posła do niego, p. Dawid Abrahamowicz aż za pomocą lwowskiego namiestnictwa zabronił przedstawiać swego dramatu, w którym podobno dzieją się takie straszne rzeczy, że obawiano się ulicznych rozruchów w znanem z krewkości mieście Stanisławowie... Czołem bijemy przed zdolnościami podatkowemi i finansowemi p. Dawida Abrahamowicza, ale żeby znowu tacy „Zbrodniarze“ i „Rogale“ dawały mu prawa decydującego sędziego w kwestjach wielkiej sceny, to nawet p. Adolf Abrahamowicz, rodzony brat i autor tylu prac scenicznych, zaprzeczyłby mu tej kompetencji. P. Sawczyński, jest doskonałym pedagogiem, powagą w całem znaczeniu tego wyrazu na tem polu — świat nauczycielski, ma prawo go nazwać nawet swoim biskupem pedagogicznym, mówi też bardzo ładnie, gdy mówi o swoim przedmiocie, a bardzo płytko, gdy się puszcza na flukta polityczne. Zanim osiadł na stolcu członka komisji artystycznej, chadzał do teatru tylko przy wielkich uroczystościach i, gdy *flota,* jak wiadomo, mizerna zwykle u pedagogów, przypłynęła do kieszeni — zresztą, nie wiązały go żadne inne nici, ani ze sceną, ani z krytyką, ani z literaturą dramatyczną, ale za to jest... zdolnym i sumiennym dyrektorem seminarjum męskiego. Na dobitkę p. p. Dawid Abrahamowicz i Sawczyński są posłami do rady państwa i siedzą w Wiedniu $^{3}/_{4}$ każdego roku P. Wiesiołowski, o którym wspomnieliśmy wyżej, iż jest dla nas znakiem zapytania, musimy dodać, że właściwie zawód jego jest tego rodzaju, który najbleglejsza komisja statystyczna przy spisie np. ludności, nie jest w stanie określić... Jeszcze należy, podobno, do tej komisji pan dzierżawca dóbr Henzel, rolnik na bruku miejskim, były kapitan, amator przepadający za muzyką na dętych instrumentach w ogóle, i za marszami pogrzebowymi, w szczególe...

To są członkowie komisji artystycznej, którzy kierują losami lwowskiej sceny... Doprawdy, już lepszym był członkiem tej komisji ś p. Podlewski, który był głuchy i nie wiele słyszał z tego, co mówiono i śpiewano na scenie, ale jednak wytrwał na swojem stanowisku aż do końca... Takie stanowisko w loży, jest bardzo miłe...

Elaborat tej komisji artystycznej o działalności teatru lwowskiego z upływającego roku, jest takiem *testimonium pauperitatis,* że największy jej wróg, gorszegoby wystawić jej nie mógł. Tego sprawozdania komisji artystycznej nie można nawet krytykować i brać na serjo — przeczytawszy, można tylko wzruszyć ramionami, machnąć ręką i powiedzieć: to są kpiny!...

Otóż, aby się lepiej działo w teatrze lwowskim, przedewszystkiem i absolutnie potrzeba, aby komisja artystyczna była złożona z innych członków i to z takich, którzyby ze względu na swoje talenta, zdolności i *literackie* wykształcenie estetyczne, mieli prawo tam zasiadać i sądzić o tem, co robi dyrekcja.

Słuchamy i czytamy różne sądy o działalności dyrekcji lwowskiego teatru; wyśrubowano jeden główny zarzut, dominujący nad wszystkimi, mianowicie, że uprawia zbyt gorliwie kult operetkowy. Jest to zarzut w pewnych piórach stronniczy, w pewnych ustach płytki, a w wielu gębach niemający żadnego sensu... Operetka panuje na całym świecie i nie winne temu dyrekcje teatrów, tylko ci, którzy chodzą do nich. Obecna dyrekcja mniej nawet, jak jej poprzedniczki, posługuje się operetką. Wszystkie operetki dawniejsze, wprowadziły do repertoaru poprzednie dyrekcje, a za ś. p. Stanisława Dobrzańskiego, nietylko masę grano operetek, ale nawet artyści dramatyczni na stanowiskach, musieli w nich grywać i śpiewać. W operetkach występowali i śpiewali za Dobrzańskiego tacy artyści, jak: państwo Kwiecińscy, Zamojski, Zboiński, Stanisław Dobrzański, Ruszkowski, a nawet Gustaw Fiszer, który, jak wiadomo, oprócz czasem Tadeusza, nigdy nic innego nie śpiewa... Dziś, jest zupełny rozdział pracy pomiędzy operetką, a dramatem i to poczytać trzeba za zasługę obecnej dyrekcji teatru, bo dopiero za niej ten pożądany rozdział stanowczo zaprowadzony został.

W ogóle, literatura dramatyczna nowoczesna w całym świecie upadła i to się musi odbić na kierunkach dyrekcyj teatralnych, które nie są niczem innem, jak tylko wykonawcami tego, co talenta autorskie i kompozytorskie stworzą. Nie prawdą jest, aby jakakolwiek dyrekcja teatru mogła wpłynąć na zmianę smaku szerszej publiczności, na który składają się inne i różnorodne czynniki, duch czasu, straszliwa powszedniość życia, czczość, ogłupiający militaryzm i brak ideałów w sercach społeczeństw... Na to wszystko nie poradzą, ani dyrekcje, ani artyści, ani nawet Szekspir, Schiller i Göthe, którzy z za grobu sporadycznie ukazywać będą oblicza swoje na scenach — na to potrzeba, aby się obudziły inne ogólne kierunki w literaturze i sztuce, aby zabłysły nowe słoneczne talenta, aby z góry nie tępiono w ludziach bożych popędów, nie pluto sumieniom w twarz i nie zohydzano na każdym kroku w polityce i w życiu narodów sprawiedliwości bożej i ludzkiej...

Jakie jest wewnętrzne gospodarstwo obecnej dyrekcji teatru lwowskiego, to do krytyki publicznej nie należy, bo każde przedsiębiorstwo urządza się i gospodaruje tak, jak uważa dla siebie najkorzystniej i najlepiej — i pod tym względem można mieć tylko osobiste zapatrywanie, które dla szerszej publiczności jest obojętne. Co zaś do tego, jak się przedstawia działalność dyrekcji teatru na zewnątrz — to bez ogródki powiemy, że, ani gorzej, ani lepiej, jak dawniej, a gdy przyjdzie inna dyrekcja, to będzie tak samo i długo tak samo się jeszcze będzie powtarzać, bo warunki wśród których dyrekcje teatru lwowskiego pracować muszą, nie zmieniają się i nie tak prędko się jeszcze zmienią — faktem jednak jest, że, co do opery polskiej, obecna dyrekcja położyła niewątpliwe zasługi, bo wyprowadziła na scenę talenta wokalne nasze, które z pewnością mają niezwykłą przyszłość przed sobą i faktem także jest, że dyrekcja obecna na kierownika lwowskiej opery pozyskała artystę o takiej przeszłości, jak pan Mieczysław Kamiński, którego krótka dodatnia działalność już jest dziś widoczną, a który idąc w harmonji z dyrektorem teatru, jak wiadomo fenomenalnie muzykalnym, może dla opery polskiej bardzo wielkie oddać usługi i, o ile wiemy, bierze to sobie za punkt honoru. Ale do tego potrzeba trochę czasu, pewnej, choćby przelotnej pobłażliwości dla wyrabiających się talentów, zachęty ze strony dziennikarstwa i ciepłych rąk i serc miłośników sceny... O to u nas nie trudno, ale o zmrażanie i unicestwianie dobrych, pożytecznych i uczciwych chęci... także nie trudno..

Kochaj!

Kochaj dziecię, kochaj szczerze
Swą mateńkę, co cię strzeże —
Cień swej chaty — swoje kwiaty —
I piosenki i pacierze,
Mgły o zmierzchu, sny o świcie —
Kochaj — życie!

Kochaj chłopcze, dum swych roje —
I marzone szczęście swoje, —
I dzieweczkę śliczną oną,
Co ci starczy za świat cały, —
I rówieśnych swoich grono,
Wieku swego ideały —
To, co czyn z letargu budzi —
Kochaj — ludzi!

Kochaj, starcze białowłosy,
Jako ziarnem pełne kłosy, —
Takruń oną, ruń zieloną. —
Z której tobie, w czas jesienny —
Poda wnuczę kołacz pszenny; —
Nim cię grobu chłód wystudzi, —
Żyj dla ludzi, kochaj ludzi.

Józef Kuczyński.

Teatr.

Zaznał i Lwów rozkoszy „wyższego“ tańca, który istotnie zasadza się na takich *szpryncach* i koziołkach, że tylko, chyba jedni dyplomaci mogliby z temi *pas,* rywalizować...

Pani, czy panna Cerale i p. Thiemé, baletnicy wiedeńskiej opery tańczyli kilka razy na lwowskiej scenie wśród hucznych oklasków, oblizywania się i... pełnej *loży artystycznej,* w której na przedstawieniu fragmentu z *Dziadów* Mickiewicza, był tylko jeden członek..

Niejaki pan Rosenstock z Galicji, znajdując się obecnie w Wiednin przysłał p. Cerale bukiet, który jej też na pierwszym występie wręczono wraz z biletem wizytowym protektora sztuk wyzwolonych i innych pięknych rzeczy. . Czasy się zmieniają... Ojciec panów Rosenstocków, z kwiatów najlepiej lubiał cebulę i... zostawił synom dobra Skałackie, dziedzictwo Poniatowskich, w których był *pachciarzem* — syn zapuścił piękne wąsy i, jak prawdziwy *bene posesionatus* sypie kwiaty pod nogi baletnicom.. Nic, zresztą, zdrożnego, taki zapał rycerski — ale czemu to dla polskiej sceny, sztuki i literatury, panowie Rosenstockowie nie istnieją wcale .. A jednak to, co mają, to powstało z polskiej roli, z polskiej soli — no, i z tego, co... nas boli..

O farsie 3 aktowej z francuskiego tłomaczonej p. t. *Krawiec damski,* przedstawionej po raz pierwszy na lwowskiej scenie w przeszłym tygodniu, tyle tylko powiedzieć możemy, że najlepiej nic o niej nie pisać, co też, z przykrością, czynimy...

Mieliśmy więc odświeżonego nieco „Trubadnra“... Miły Boże, gdybym miał tyle tysięcy, ile ten „Trubadur“ wyprowadził i pochował śpiewaków to .. przedewszystkiem nie pisywałbym recenzyj teatralnych i nie chodziłbym na „Trubadura“...

Była tedy Leonorą panna Pawlików. Partja w zupełności leży w głosie tej utalentowanej śpiewaczki — to też całość wypadła doskonale, a niektóre sceny, chwytały wprost za serce — gra też panny Pawlików, była poprawna i szlachetna.

Lnną tym razem był p. Borkowski. Jest to baryton o dość przyjemnym głosie, ale nierównym — miejscami huknie, a miejscami go ledwo słychać — nie ma też tego temperamentu, który porywa artystę razem ze słuchaczami — śpiewak to, jednak, jak to powiadają, przyzwoity i użyteczny.

O panu Niżankowskim debiutującym w małej, ale wdzięcznej partji basso-barytonowej Fernanda — nic nie można powiedzieć — to nie jest żadna indywidualność wokalna.

Partje Manrika i Azuceny, jak poprzednio, odśpiewali pan Jerzyna i panna Frenkel-Niwińska, o których już pisaliśmy.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. F. w Brodach. Otrzymaliśmy, przeczytamy i, gdy się nada umieścimy

Wiel. ks. Kozakowi w Sędziszowie. Nie słusznie ksiądz dobrodziej ma do nas żal — potrzebaby osobne biuro mieć na to, aby prowadzić kontrolę taką, bo w takim razie z kilkuset czytelników zażądać może tego samego... Żadna redakcja na świecie takich komisów przyjąć nie może.

Szanownych Panów abonentów zamieszkałych w Ameryce uprzejmie prosimy, aby byli łaskawi odnowić prenumeratę na „Gońca“ i Iskrę“. Oczywiście, dotyczy to tych, których prenumerata się już skończyła, a którym pomimo to przesełki dalszej pism nie przerwaliśmy. — Zwracamy im łaskawą uwagę, że zaległości prenumeracyjne są dla wydawnictwa uciążliwe, bo mamy bardzo liczne wydatki.

HANDEL
ANDRZEJA LANGNERA
w Rynku, w Arcybiskupiej kamienicy l. 9.
poleca
NA ŚWIĘTA
wyborne wina węgierskie i austrjackie
również zagraniczne wprost od producentów sprowadzane.
Cenniki na żądanie rozsela franco.
4706—5-1

Hurtowny skład win
M. KOZŁOWSKIEGO
w Przemyślu.

Na wystawach w Niemczech i Krakowie zostałem zaszczycony pierwszemi nadgrodami za Wina Węgierskie, polecam takowe jako wina naturalne najzdrowsze i wyborne w smaku, w beczkach oryginalnych od 130 do 136 litrów.

Wina odstałego czystego bez lagru,
beczka od 45, 50, 60, 70, 80, 100 do 400 złr.

Wina stołowe białe w butelkach
butelka ct. 40, 50, 60, 70, 80, i 1 złr.

Wina Tokajskie stare wytrawne, lub przy słodyczy z różnych lat,
butelka od 1·50, 2, 3, 4, 5 do 8 złr.

Esencja Tokajska stara dla osób osłabionych lub rekonwalescentów,
butelka złr. 3, 4, 6.

Oprócz tego pakowane w paczkach:

12	but. Wina biał. Szamorodner nr. 1	7·—
12	„ „ „ „ nr. 2	9·—
12	„ „ „ Hegyalyaera wybornego	10·50
12	but. Wina biał. Książęcego	11·—
12	„ „ „ (Kiraly) Król.	12·50
12	„ „ czer. Szegeszardera	6·—
12	„ „ „ Ofner Adelsber.	7·—
12	„ „ „ Budai jak Bord.	9·—
12	„ „ „ Egri Erlauer	10·—
12	„ „ „ Villanyer Gab.	10·80
12	„ „ „ St. Jul. fr. Ia	18·—
1	„ Wódki Śliwowicy syrm. st.	1·—
1	„ „ Starki przem. sław.	1·50
1	„ „ Nalewki litewskiej	1·50

Arak i Rum prawdziwy z Jamajki.
Cognac francuski.
(4712—7—1).

SZYMAŃSKI i MAULIK
w Stanisławowie.

Nadeszły już świeże towary
Angielsko-francuskie
i Birmińskie.
Z miesiącem Maja handel przeniesiony będzie na ulicę **Sapieżyńską.**
4710—6—1

Wincenty Mitschka
krawiec cywilny i wojskowy
w Stanisławowie,

poleca wielce szanownej P. T. Publiczności swoją **pracownię sukni mężkich,** oraz skład najnowszych i najmodniejszych materyj na ubrania mężkie, zapewniając nietylko staranną ale i wedle najnowszej mody wykonaną pracę
po cenach umiarkowanych.
4708—3-1

JAUERNIK & BŁAŻEK
W STRYJU
Rynek l. 88
polecają:

skład prawdziwych lnianych płócien, ręczników, chustek do nosa, nakryć stołowych, białych szirtingów, pik i dymek, kolorowych barchanów, baj i perkali, obić na meble, drelichów, oraz angielskich płócienek, cerat i dywanów.

Własny wyrób mezkiej i damskiej bielizny. Wielki wybór pończoch, skarpetek, kaftaników trykotowych i normalnej bielizny prof. Dra Jägera.

Wielka ilość
czarnych sukien i szewiotów na mężkie ubrania, czarnych kaszmirów, sukien na podłogi, kocyków, kołder, kap na łóżka, firanek, barchanów, pledów, chustek.
Również skład białej i kolorowej bawełny, nici do szycia, mężkich krawatek, koronek, szlarek, wstawek haftowanych i parasoli.
Cenniki i próbki materji posyłamy na żądanie franco.
4711—12-1

Dr. Mecyny i Okulista
M. Ostafiński
w Stanisławowie.
Ord. od 2—4 po południu, dla ubogich od 8—9 rano. (4709-4-1)

Antoni Serafin
poczta i stacja kolei Kałusz.

Otrzymawszy odlewarnię dzwonów po firmie **„Jana i syna Antoniego Serafin“** na własność, jako poprzedni wspólnik tejże odlewarni, nagrodzonej srebrnym medalem zasługi, listem pochwalnym i uznaniem na wystawie Towarzystwa im. Kaczkowskiego w Kołomyi (jak to w swoim czasie wiele dzienników poświadcza). Posiadam i teraz **wielki skład dzwonów gotowych, wyrabiam również nowe na zamówienia — i odlewam uszkodzone** wszelkiej wagi, najspieszniej i pod bardzo przystępnymi warunkami.

Niniejszem nam zaszczyt podziękować Wysokiemu duchowieństu i Wnym fundatorom, za dotychczasowe łaskawe względy i proszę uprzejmie o łaskawe nadal popieranie mnie zamówieniami, przy czem, tak **za harmonijny głos i trwałość materjału,** jako właściciel tejże odlewarni i realności, najsumienniej poręczam.

4707-5-1 Z wysokim szacunkiem
Antoni Serafin.

Fabryka serów w Kańczudze
poleca wyborne gatunki serów
nie ustępujących zagranicznym:

Kańczucki desertowy	**Fromage de Brie.**
Imperial.	**Ser Alpejski.**
I^{a} Szwajcarski.	**Neufszatelski.**
Romadour.	**Ser do wina.**
I^{a} Limburski w cegiełkach.	**à la Hagenbergski.**
II^{a} Limburski w cegiełkach.	**Camerbertski.**
	Liptawski rzadkowy.
	Piwny ser.

Za pobraniem.

Łaskawych zleceń oczekuję i polecam się
z poważaniem
Alojzy Hampel
(4587-12-8). fabrykant serów
w Kańczudze pod Przeworskiem.
Na żądanie cenniki posełam franco.

Antoni Koželoužek
we
Lwowie
Kamienica przechodnia Andriolego, Rynek l. 29, lub od strony OO. Jezuitów l. 12.
Poleca **kapelusze filcowe** w najnowszych fasonach w cenie: 1.30 do 4.50 złr.
Cylindry własnego wyrobu od 3.50 do 7.50 złr.
Posiadam **wielki wybór kapeluszy ze słynnej fabryki Habiga** i tak za kapelusz filcowy kolorowy, lub czarny 5 złr.
Buty do polowania, również, jak damskie, męskie i dziecinne **papucie filcowe.**
Nieprzemakalne czapki barankowe w wielkim wyborze na składzie
Cylindry Habiga po 8 złr.
Przyjmuję do odnowienia i farbowania kapeluszy filcowych, jakoteż cylindrów.
Wszelkie zlecenia, tak z prowincyi, jakoteż i miejscowe uskutecznia w jak najkrótszym czasie.
Dziękując uprzejmie P. T. Publiczności za dotychczasowe względy, polecając się nadal usługom. 4636-6-11

Boże błogosław!
(4526 8-8 d.)
Skład drzewa
Fr. Dusbergera
w Przemyślu (Nowa Targowica)

Mam zaszczyt zawiadomić Szan. P. T. Publiczność, iż posiadam w mym zapasie następujące materjały drzewne, jako to: drzewo budowlane na belki płatwy i krokwie, łaty, gąty doborowe, wszelkie materjały do oparkanienia i osztachetowania, deski rozmaitych rozmiarów, jakoteż i jakości to jest: jodłowe, świerkowe, sosnowe, topolowe i dębowe po cenach, jak najumiarkowańszych. Oraz przyjmuję wszelkie obstalunki drzewne wchodzące w mój zakres, wykonując takowe w jak najkrótszym czasie. Spodziewając się, iż Szanowna P. T. Publiczność raczy mię, jak dotąd zaszczycać swymi łaskawymi względami, kreślę się
Z głębokiem poważaniem:
Franciszek Dusberger.

C. k. uprzyw. kolej galicyjska Karola Ludwika.

Obwieszczenie.

XXXIV. Zwyczajne
Zgromadzenie walne Akcjonarjuszów
ces. król. uprzywilejowanej
kolei galic. Karola Ludwika
odbędzie się w sobotę dnia 11. maja 1889 r. o godzinie 11. przed południem w Wiedniu
w sali Stowarzyszenia austr. Inżynierów i Architektów
I. Eschenbachgasse Nr. 9.

Porządek dzienny:

1. Sprawozdanie Wydziału rewizyjnego z zamknięcia rachunków z roku 1888.
2. Sprawozdanie roczne Rady zawiadowczej.
3. Uchwała, co do przychodu z roku 1888.
4. Wybór Wydziału rewizyjnego dla zbadania rachunków z roku 1889.
4. Uzupełnienie Rady zawiadowczej.

W celu korzystania z prawa głosowania na walnem zgromadzeniu należy złożyć akcje (§§. 22 i 26 statutów) najdalej do dnia 12. kwietnia r. b. włącznie: w **Wiedniu:** w kasie Towarzystwa w c. k. uprz. Zakładzie kredytowym dla handlu i przemysłu, w kantorze M. S. Rotschilda; we **Lwowie:** w Filii c. k. uprz. austr. Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu i w c. k. uprz. gal. akcyjnym Banku hipotecznym; w **Krakowie:** w galicyjskim Banku dla handlu i przemysłu; w **Berlinie:** w Banku dla handlu i przemysłu, w kantorze S. Bleichröder. w Dyrekcji Towarzystwa dyskontowego, w kantorze Mendelsohn & Comp. i w kantorze Richtera & Comp.; w **Wrocławiu:** w szląskiej spółce bankowej; w **Lipsku:** w powszechnym Zakładzie kredytowym niemieckim; w **Hamburgu:** w kantorze pp. L. Behrens i synów; w **Frankfurcie** n/M: w kantorze pp. M. A. Rotschilda i synów i w niemieckim Banku dla papierów wartościowych i weksli; w **Monachium:** w kantorze Merck, Finck & Comp.; w **Stutgardzie:** w Wirtemberskim zakładzie bankowym, ongi Pflaum & Comp.

Każde 40 akcyj dają prawo do jednego głosu, żaden jednak Akcyonaryusz nie może zastępować więcej, jak 25 głosów we własnem i mocodawców imieniu.

Wiedeń, dnia 8. marca 1889.

(4713—1—1) **Rada zawiadowcza.**

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ulica Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.

Dodatek powieściowy na dalszych stronnicach tegoż numeru.

Dodatek powieściowy do Nru 37 „Gońca".

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań".

(Ciąg dalszy patrz dodatek do Nru 44. „Iskry").

— Tak, — odpowiadał Siedlicki — w lesie na jutro zwierzyna, kazałem obsaczyć dzika.

— Ty panie Siedlicki jesteś dobrym myśliwym — ciągnął dalej rozochocony biesiadnik, — wiadomo, że tropić potrafisz... Ten jednak ze ściany, którego nazwiska nie chcesz zdradzić, chcę iść z tobą o zakład, że mu drugiego oka nie wystrzelisz... co?

Siedlicki był jak na rozżarzonych węglach, coś go łamało, męczyło, mordowało wewnątrz, doznawał katuszy takich, że omal nie jęknął, a czuł, że z tem czemś strasznem w sobie, zdradzić się nie może, bo to podwoiłoby jego męczarnię; — więc uśmiechał się — i nic już nie mówił.

Korzystając ze sposobności, przy jakimś hałaśliwszym toaście, rządca porwał się z miejsca i wybiegł na dziedziniec. Tak wzburzony, bał się iść do swego mieszkania, a nie chciał już wracać do towarzystwa.

Chłód jesiennej nocy ostudzał mu rozpalone skronie, Siedlicki zapatrzył się w nocną przestrzeń. Ciemnia... mrok... nic nie widać!... A jednak w tej przestrzeni bez światła, rządca coś widział... Widział to oko przestrzelone na portrecie, widział, jak z tej jamy po oku, występowało przerażające, okropne widmo... szło... zbliżało się do niego...

Rządca zakrył wzrok dłonią i poskoczył na oślep do oficyny. Na progu swego mieszkania przystanął.

— Nie, — wyszeptał — wejść jeszcze nie mogę... Michaś!...

Siedlicki miał jedynaka syna, który w chwili, gdy się opowiadanie rozpoczyna, miał już lat dziewiętnaście.

Michaś od roku prawie pozostawał w domu ojca, bo go za jakieś przewinienie wydalono z uniwersytetu.

Ten jedynak był największem szczęściem i największą męczarnią w życiu ojca. Siedlicki kochał nad życie Michasia, zaprzedałby się na śmierć dla niego — i rzecz dziwna, bał się go więcej, niż śmierci. Było coś w tym synu, przed czem zawsze drżał ojciec.

Michaś spodziewał się, że od szkolnego roku powróci do uniwersytetu, a w tym celu ślęczał po całych dniach nad książkami, uczył się w domu.

Dla Siedlickiego trzymanie chłopca przy sobie, było niemałym kłopotem, ile, że musiał wciąż zapobiegać, aby cyniczna otwartość plenipotenta, nie dochodziła do Michasiowego ucha; szczególniej teraz, gdy dziecko wyrosło na człowieka, położenie ojca stało się prawie nie do wytrzymania. Michaś poczynał wszystko badać, a dojrzawszy coś, co uważał za dwuznaczne w postępowaniu Siedlickiego, popadał w cierpienia nerwowe, na widok których, drętwiał ze smutku ojciec.

Plenipotent tymczasem pozawierał rozległe stosunki w mieście i żył, o ile się dało, na tem... odludziu; zdawało mu się, że Wilczanka, to jego własność, von Kramst bowiem, jakby zapomniał o nim i o nabytym majątku.

Tak upłynęło lat siedmnaście. Nareszcie ta długa gospodarka Leonidasa i Siedlickiego, wyczerpała wszystkie źródła dochodów.

— Dawaj Siedlicki pieniędzy! — wołał teraz coraz natarczywiej administrator.

Siedlicki jeszcze czasami dawał, lecz dawki te stawały się coraz mniejsze, aż wreszcie nadszedł czas, że i mniejszych zabrakło.

Pewnego dnia Leonidas wróciwszy z miasta, począł bardzo energicznie domagać się kilkunastu rubli.

— Niema i nie będzie już nic tego roku! — odpowiedział stanowczo rządca. — Nic się nie sieje, bo grunta w zastawie na dwa lata u żydów; propinacja upada, z czegóż więc czerpać, gdy wszystko już wyschło? Chcesz pan, to możemy sprzedać te obrazy i te szafiska z jadalnego pokoju? Żyd daje właśnie za nie kilkanaście rubli.

— Dobrze, sprzedaj, co chcesz, a dawaj! Mam długi, żydzi nie dają mi spokoju... Kilkanaście rubli, to kropla na dziś, lecz co będzie jutro? Nikt mi już nie chce pożyczyć.

— Można by wypracować jeszcze jeden interes, lecz to rzecz ryzykowna...

— Przyjacielu wypracuj i ryzykuj! inaczej zginę z nędzy.

— Można by sprzedać trochę lasu, partję starodrzewu. Wilczańskie bory są kapitalne, sam budulec prawie, znajdą się nawet i masztowe sosny.

Leonidas zamyślił się.

— A ileżbyśmy mieli z tej sprzedaży?

— To zależy od tego, ile się sprzeda.

— Jak sądzisz, ile się da sprzedać?

— Można by i za dziesięć tysięcy rubli; i za pięćdziesiąt, i za sto, i za więcej jeszcze... Ile pan zechce.

Leonidas aż podskoczył z radości.

— Ty jesteś brylantem najczystszej wody! — zawołał — ty jesteś dobroczyńcą nieszczęśliwych, ratunkiem ginących! Słuchaj Siedlicki! twój geniusz poniewiera się w tym zapadłym kącie, gdy mógłbyś z nim w podziw wprowadzić świat cały, na posadzie ministra całej kuli ziemskiej.

Nazajutrz rządca sprowadził „brakarzy" i udał się z nimi do lasów, poczem rozpoczęło się cechowanie wilczańskich sosen i dębów.

Rządca miał już ze swych oszczędności niezłą sumkę w listach zastawnych; ten owoc swej pracy chował starannie, nietylko przed okiem plenipotenta, lecz w ogóle przed każdym ludzkim wzrokiem. Przez te ostatnie lat siedmnaście, zapracowałby w dwójnasób tyle, ile posiadał, ale go plenipotent kosztował za grubo, musiał mu dawać prawie trzy części dochodów.

Teraz nastawała chwila powetowania strat, zrządzonych przez administratora, na którego rachunek można było urządzać cięcia, według upodobania, chociażby w pień las cały. Prócz tej praktyki *en gros*, przedstawiały się również niezgorsze handelki *en detail:* kontraktowe, pniowe, wiązadłowe, wierzchowe i t. p. Ma się rozumieć, że kontrakt sam rządca z żydem kupcem ułoży, plenipotent tylko położy swój podpis pod warunkami. Na pniu, po ściętem drzewie, sam rządca także z cechowym młotem stanie, a ile pniów odcechuje, to już rzecz jego. Wiązadeł na drygawki do spławu w konktrakcie nie zamieści, bo to już sprawa osobista między rządcą a kupcem. Drobiazg, wierzby potnie się na sążnie do kolei żelaznej, i znowu sam rządca sprzeda je za pomocą żydka faktora.

Cyfry tej całej operacji finansowej zajmowały teraz wyłącznie Siedlickiego; mówię „prawie", gdyż całkowitemu oddaniu się tej pozytywnej wyłączności, stawał co chwila w poprzek Michaś.

Żeby się tylko Michaś nie dowiedział, lub nie domyślił czegoś!

Dla kogóż to, jeśli nie dla syna, podejmował te trudy ojciec? Michaś musi być bogatym, ponieważ bogactwo to gąbka, ścierająca różne plamy, tak z jednostki, jak z gromady rodzinnej.

Jeszcze ten jeden interes drzewny!... a potem... potem wyniosę się ztąd gdzieindziej... Nikt nie powinien rzucić w oczy Michasiowi, że on syn... syn ojca, który...

Siedlicki zawsze się wzdrygnął, przy zestawieniu w myśli siebie z synem.

— Możeby lepiej było na teraz wysłać Michasia zagranicę, do uniwersytetu? — zapytywał siebie w duchu.

Pomysł ten wydał mu się doskonałym. Dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy?... uniknąłby tego strasznego niepokoju, który nim bezustannie miota...

Właśnie w chwili, gdy już ukartował cały plan względem wysłania syna niebawem z Wilczanki zagranicę, skrzypnęły drzwi od kancelarji, a na progu ukazał się Michaś.

Był to chłopiec smukły, lecz wątłej budowy, w barkach wązki, trzymający się pochyło, o bladej twarzy, jakby go nurtowała nieuleczalna choroba.

Ojciec przysłonił rachunkowemi księgami jakieś papiery i podniósł się na spotkanie syna.

— Co ci jest Michasiu? — zapytał z macierzyńską niemal pieszczotliwością w głosie — wyglądasz dziś tak mizernie, drogie dziecko. Żebyś wiedział, jak ja się gryzę twem zdrowiem. Ty za wiele pracujesz... Posłuchaj mnie, Michasiu, uprojektowałem dla ciebie coś, co cię rozraduje... co nawet dobrze wpłynie na twe zdrowie...

— Ależ ja zdrów jestem, — przerwał chłopiec, — nie gryź się mną i nie myśl o mnie, ojcze! Zanim się dowiem o twych projektach, chciałbym się od ciebie dowiedzieć o czemś innem, chciałbym pomówić z tobą.

— To chodźmy do nas! tu do kancelarji ciągle ktoś wchodzi, a i plenipotent jest w domu...

— Nie, nie, — przerwał z nerwową niecierpliwością Michaś, — wszystko mi jedno, choćby kto wszedł... mówmy tu zaraz, bo mnie dręczy niepewność. Powiedz mi, ojcze, czy to prawda, że las będą wycinać?

Po Siedlickim przeszły zimne dreszcze. Ale zanim zdobył się na odpowiedź, z głębi przyległego do kancelarji pokoju ozwał się głos jakiś:

— Tak, będą wycinać. — A po tem potwierdzeniu, wszedł zaraz plenipotent.

Siedlicki stracił przytomność umysłu, zmięszał się tak, ze nie wiedział, co mówi.

— Nie, nie, nie! — powtarzał bezwiednie — ażeby las wyciąć, trzeba mieć na to zezwolenie dziedzica.

Plenipotent roześmiał się i wzruszył ramionami.

— Co też ty pleciesz Siedlicki! — zawołał — wszakże jestem pełnomocnikiem von Kramsta, jestem plenipotentem owego dziedzica. Tak, czy nie?

— Nie, nie, — powtórzył rządca.

Lecz w tejże chwili oprzytomniawszy nieco, dodał:

— Tak, pan plenipotent jest upoważnionym do działania, dziedzic dał mu swe zezwolenie

— A dziedzic wie o tem, że las jego ciąć będą? zapytał Michaś.

— A choćby nie wiedział, to co? — ozwał się Leonidas.

— To cięcia robić nie można!

— Nie można? — powtórzył z ironią plenipotent — może też i można, gdy będą do tego odpowiednie piły i siekiery...

— Panie administratorze, ozwał się znowu Michaś — pan nie sprzedasz lasu bez wiedzy von Kramsta.

— A to wyborne! pan Michał mi zabroni?

— Von Kramst zabroni.

— A pan Michał zadenuncjuje mnie przed von Kramstem.

— Tak, ostrzegę von Kramsta listownie.

— Rozumiem!... skłonności i choroby odziedziczają się po rodzicach...

— Co pan przez to rozumiesz? — zawołał Michaś — Tak jest, odziedziczyłem po przodkach poszanowanie cudzej własności...

Plenipotent zaśmiał się szydersko.

Blady, jak trup Siedlicki, załamał ręce, że aż zatrzeszczało w stawach; w śmiertelnej trwodze, żeby plenipotent nie oskarżył go przed Michasiem, chciał zapobiedz dalszej sprzeczce.

— Michasiu, — zawołał — od czasu tego nieszczęsnego wydalenia cię z uniwersytetu, stałeś się zgryźliwym..

—Mogli mnie wydalić z uniwersytetu, bo na to może zasłużyłem... lecz nie zasłużę nigdy na ludzką pogardę!... nie, nigdy!... Mogę być nieszczęśliwym, lecz nikczemnym nie będę!

Leonidas miał w sobie różne popędy, których nigdy nie kiełznał; życie zmysłowe zmarnowało w nim człowieka. W młodzieńczych latach, coś z niego wytraciło człowieczeństwo, a odtąd dał folgę wszystkim swym niskim namiętnościom. Jakby naumyślnie zachwaszczał grunt swój mo-

ralny, żeby ślad zginął po tem, co niegdyś tam rosło.

A jednak dziwna rzecz, w tej bezmyślnej naturze, były czasami rzuty inteligencji, objawiały się zaś one najczęściej wtedy, gdy ludzka uczciwość potrąciła serce Leonidasa.

Leonidas żył... i używał; wiele z siebie rzucił djabłu na strawę, ale w tem wiele rzuconem, zapomniał wyrzucić ze swej piersi serca. Leonidas miał serce.

Drżący głos Michasia poruszył go, począł żałować, że w tę twarz wybledzoną cierpieniem, bluznął zarzutem dziedzictwa skłonności denuncjatorskiej.

Gdyby ten blady Michaś wiedział o wszystkiem!... Nie, Michaś nie wie o niczem... Michaś niczego się nie dowie od Leonidasa...

Plenipotent umiałby sprzedać całe obszary lasów von Kramsta, umiałby zrabować go do szczętu i marnować kradzione, umiał pić do utraty zmysłów i chlubić się z tego; umiał to wszystko, umiał jeszcze więcej ciekawych rzeczy, lecz nie umiał najgrawać się z cierpień poczciwych ludzi; co więcej, szanował poczciwych.

— Cóż winien ten blady, sentymentalny chłopiec, że ma takiego nikczemnika ojca? — mówił sobie w duchu, a głośno dodał. — Powiedziałem ci, panie Michale, że skłonności odziedziczają się po ojcach, zastanawia mnie to jednak, zkąd się wzięło usposobienie do egzaltacji w panu! To chyba spadek po matce, bo ojciec ma naturę pozytywną.

— Zkąd się to w nim wzięło, zkąd, zkąd? — powtarzał machinalnie Siedlicki.

— Zkąd — odpowiedział chłopiec, — powiem ci zaraz, ojcze, zkąd? z nieba, które wisi nad rodzinną ziemią... z łąk, pól i sadów naszych... z dymów nad naszemi strzechami... z krzyżów, które stoją po drogach... z dzwonów przy naszych kościołach... z mogił naszych po cmentarzach... z pieśni naszych poetów... i z tych lasów, które wycinać mają... wreszcie... ztąd... — dodał, kładąc rękę na piersi — ztąd, bo tu jest wszystko!...

— Widzisz Michasiu, — objaśniał Siedlicki — von Kramst jest cudzoziemcem, von Kramst nie dba o to wszystko, nie dba też o ten majątek, a z tą ziemią nic go nie wiąże...

— Ale nas wiąże! czy zapomniałeś o tem, ojcze? Biada nam, gdy przykładamy rękę do zniszczenia, a jeszcze w ten sposób... to zbrodnia, ojcze!

W tej chwili na dziedzińcu rozległ się tętent kopyt końskich, a jednocześnie ktoś zakrzyknął.

— Gdzie administrator? hej, prędzej! goniec od pana von Kramsta!

Plenipotent i Siedlicki wypadli na podwórzec. Posłaniec przywoził zawiadomienie, że Włodzimierz von Kramst, syn Hermana von Kramsta za parę godzin przybywa do Wilczanki.

III.

Dziwnie oryginalnym był Włodzimerz von Kramst! Jego oryginalność nie polegała na odrębności pojęć, na zdumiewających niespodziankach czynów, lecz na zgryźliwym poglądzie na fakta, na osobliwej podchwytności zwierzęcia w człowieku, do którego się zbliżał. Zdawałoby się, że ta jego prokuratorska zdolność do wyprowadzania wniosków z ujemnej strony bliźniego, pochodziła od kurczów duszy, z poranionych uczuć; tymczasem owa filozofja goryczy, którą Włodzimierz upodobał sobie, brała źródło z nadużycia wrażeń bez doniosłości zdarzeń.

Inteligencja francuzka, z którą się poznajomił w Paryżu, utrzymywała, że Włodzimierz posiada niesłychanie dziwną naturę. Zkąd się ona wziąść mogła w tym młodzieńcu dwupiemiennym, po systematycznie kulturnym ojcu, miemcu i po usystematyzowanej kulturą matce, czeszce — *that ist the question!*

Owóż, dziwna natura Włodzimierza, zanim weszła na pesymistyczną elipsę, przebiegała pierwej różnorakie koła planetarne, poszukując ideału.

Namiętny temperament i cześć dla racjonalizmu, dążenia humanitarne i popęd do dziecinnej dzikości posuniętego okrucieństwa, marzenia o uszczęśliwieniu ludów i żądza panowania, szacunek dla uczuć rodzinnych i rozwiązłość obyczajów; wszystko to harcowało po tej dziwnej naturze, urabiając w odwrotnym ruchu wnętrze młodego von Kramsta, do sił potrzebnych, na które liczył stary von Kramst.

Ojciec zaznajamiał wcześnie syna ze swemi dążnościami, a zdawało się, że syn nie odstrychnie się nigdy od zadań ojcowskich i wyruszy kulturträgerskim szlakiem do celu.

Włodzimierz skończywszy uniwersytet, udał się na początek do Berlina — i tam właśnie rozpatrzywszy się w całej maszynerji społecznej, zbankrutował na tej spuściźnie ducha, którą mu ojciec przekazał.

Młodość Włodzimierza potrzebował imać się czego innego, Włodzimierz von Kramst wstępował też parą nóg zdrowych, energicznych, niewycieńczonych chodem, w krąg coraz to innych prądów nowatorskich i konserwatywnych, szukając we współczesnej rzeczywistości czegoś, w coby uwierzył, w czemby znalazł myśl wielką, inicjatywną — i w co mógłby włożyć swą siłę przedsiębiorczą.

Na drugiej swej stacji w pogoni za ideałem, zatrzymawszy się w Wiedniu, znowu począł się rozpatrywać na wsze strony. Znalazł tam komunały, pochwytane po świecie, różne hasła obrzędów zachodnich, puste formułki stronnicze, wiele życia, drgającego nie wiadomo czem i nie wiadomo, dla jakich celów; wszystko to, co nie zagrzewa do rycerskości, nie wykrzesuje z piersi zapału i dumy narodowej, nie stwarza wiekopomnego czynu. Wiedeń treścią dążeń, rutyną pojęć, przypominał mu Berlin; ludność tylko austrjacka różniła się od niemieckiej w formie, w obrzędach; w duchu nie było różnicy.

W poszukiwaniach swoich, Włodzimierz nie ustawał: nowoczesny ten argonauta pielgrzymował od stolicy, do stolicy, od miasta, do miasta, od kraju, do kraju, aż wreszcie uwiązł na dłuższy czas w Paryżu.

Sam nie wiedział dlaczego z tej stacji nie poszedł dalej. Wiedział jednak, że i we Francji nie znajdzie tego, czego szuka, bo od razu zrobił odkrycie, że wszystko, czego się tu dotknął, było czcze, płaskie, warcholskie nawet, nie miało ducha, który wskazuje drogę do wyraźnego, a wspaniałego celu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. — Telefon Nr. 117.